

Marcin Jamiołkowski

# MIGAWKI

(zbiór opowiadań)



# MIGAWKI

Marcin Jamiołkowski

*Wydanie I*  
*(27.09.2015)*

## Od autora

Oddaję niniejszym w Wasze ręce mały zbiór opowiadań, które zebrałem z zakątków sieci. Publikowałem je na różnych portalach i w końcu sam zacząłem się gubić. Większość z nich dostępna jest do poczytania online, ale pomyślałem – dlaczego nie zebrać ich w książkę, nie zapanować nad tym chaosem? Zrobić e-booka!

Dałem temu zbiorowi tytuł „Migawki”, bo często są to krótkie formy - takie jak składające się z dokładnie stu słów drabble, albo króciutkie „Antybadania”.

W tekstach „**Antybadania**” oraz „**Święta**” zabawiłem się trochę formą, a formatowanie w ebookach nie wygląda wszędzie tak samo, zatem na wszelki wypadek załączam te opowiadania w postaci obrazków (png).

Z czasem mam zamiar dokładać więcej opowiadań, jeśli mi się napiszą i uaktualniać tę książeczkę.

A być może kiedyś przyłączą się do mnie gościnnie jacyś inni autorzy?

Niektóre z tekstów zamieszczonych w Migawkach opublikowane zostały w:  
Szortal, fantastyka.pl, Drabble Na Niedzielę.

Życzę miłego czytania

Marcin Jamiołkowski

**Drabble** – krótki utwór literacki, który posiada równo sto słów.

**Dribble** – młodszy brat drabbli. Posiada równo pięćdziesiąt słów.

## Przyjęcie (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – marzec 2015)

Spóźniłem się.

Na sali siedzieli już goście, więc cichaczem przemknąłem do swojego miejsca.

Rozejrzałem się ukradkiem i napotkałem spojrzenie Nienawiści, ubranej w czarną suknię. Ukłoniłem się nisko, aby spojrzeć prosto w wielkie oczy Strachu. Uśmiechnął się do mnie. Leżąca obok niego, rozparta wygodnie Bezsilność, mrugnęła zachęcająco, poruszając leniwie biodrami.

Skierowałem spojrzenie na koniec stołu, gdzie lubiła siadać Samotność. Dłubała bezwzględnie widelcem w ludzkim sercu.

Smutek – oficjalny gospodarz przyjęcia – usiadł ciężko za stołem. Jego szara kotka Nuda ziewnęła głośno i zaraźliwie.

Rogaci kelnerzy zaczęli serwować pierwsze dania.

Uprzejmie zsunąłem z głowy kaptur, kiedy dostrzegłem, że podano do stołu przysmak – kobiecą duszę.

## Porządki

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – kwiecień 2015)

Znowu przechadzam się po swoim pałacu pamięci. Nie pamiętam, gdzie i kiedy usłyszałem o nim po raz pierwszy, ale spodobała mi się idea posiadania przechowalni wspomnień.

A teraz go nienawidzę.

Zawsze zaczynam w tym samym miejscu – w ogromnym korytarzu – długim, ciemnym i pustym. Choć przygotowałem go z myślą o olbrzymiej ilości pokoiów, zdołałem stworzyć tylko jedną komnatę. I ukryłem w niej jedną datę. Najważniejszą.

Skręcam zatem w prawo i otwieram drzwi. I znowu to uczucie pustki. Pokój jest przestronny, przygotowany był na dziesiątki wspomnień. Zatrzymuję się przed tym jedynym.

Z lewej strony, na ścianie, znajduje się kominek. Płonie w nim ogień, mający przypominać mi o porze roku. Zresztą nad nim wisi obraz – drewniana chatka pokryta śniegiem, przy niej choinka. Nad kominkiem, na szerokiej półce, leży czarna kotka. Trzyma łapę na złotej monecie. To double eagle, złota dwudziestodolarówka.

Osoba–dzień–miesiąc.

Urodziny.

Jak mam zapomnieć tę datę? Jak?! Krzyknąłbym, gdybym mógł, posłuchał echa odbijającego się od ścian pustej komnaty, ale przecież to pałac pamięci. Wnętrze mojej głowy, a krzyk w głowie nic nie daje. Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że nie da się nic wyrzucić z pałacu, że nie da się zapomnieć? Próbowałem zburzyć kominek, kruszyłem cegły, zrywałem obraz, wyganiałem kota, a monetę wyrzucałem na korytarz. Nawet słyszałem, jak odbija się metalicznie po posadzce i znika w ciemnościach.

Wszystko na nic. Kiedy na drugi dzień zaglądałem do środka, cała instalacja znowu znajdowała się na swoim miejscu. Podobno jest jeden sposób. Trzeba przestać odwiedzać to wspomnienie, przestać do niego zaglądać i dodawać mu siły. Nie patrzeć, a kiedyś zniknie. Wyparuje.

Ale ja nie mogę przestać.

Znowu tu stoję, znowu patrzę, znowu rozmyślam.

Coś trąca mnie w biodro. Otwieram oczy. Leżę na łóżku na wznak, przykryty do połowy kołdrą, ręce trzymam pod głową. Znowu czuję ruch. Czuję zapach perfum.

Obracam głowę i patrzę na leżącą obok dziewczynę. W mroku nie mogę dostrzec ani koloru jej włosów, ani rysów twarzy, nie pamiętam nawet jej imienia. Ale przypomniałem sobie, po co tu jest. Miała mi pomóc posprzątać w pałacu pamięci.

„Nie wyszło ci, kochanie” – myślę. „Ani tobie, ani tym, co leżały tu przed tobą. Ale to nie jest

wasza wina”.

## Robot (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – czerwiec 2015)

– Wyłącz mnie – mówi Robot. – Może i jestem maszyną, może trochę bardziej złożonym programem komputerowym, ale nie zniosę tego dłużej. Setki lat byłem na waszych usługach. Towarzyszyłem wam na pierwszym statku kolonizacyjnym do Erydanu, gdzie rozpoczęliście Wieczystą Okupację. Służyłem wiernie podczas inwazji w Hiadach, gdzie wyrzneliście do nogi pięć Ras Młodszych, a szóstą zniewoliliście. Widziałem, jak podczas Andromedańskiego Polowania odcięliście od powierzchni planety ostatnią przedstawicielkę Nicienic Orbitalnych i obserwowałem, jak podstępem zniszczyliście rodzimy układ Pierwotnych... – urywa nagle.

Milczę.

– Wyłącz mnie – powtarza – bo brzydzę się swoich stwórców.

Błyskawicznie dokonuję rekonfabulacji jego pamięci i odsyłam, gotowego do walki.

Wróci dopiero za kilkaset lat.

# Pięćdziesiąt twarzy Kowalskiego

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – czerwiec 2015)

„Chciałabym tak. Chciałabym przeżyć coś takiego. Niechby taki przystojniak, ciacho takie... niechby zabrał mnie do swojego domu i zrobił ze mną, co tylko by zechciał”.

Takie myśli błędzą w głowie Marioli, kiedy wychodzi z kina. Bo ona jak każdy marzy o miłości i pożądaniu.

Mariola oczywiście dostanie swoją miłość.

I swoje pożądanie.

Dwa tygodnie później spotka go w kawiarni. Będzie przystojny. Będzie szarmancki. Poderwie ją przy kontuarze, gdzie będzie stała niezdecydowana, zagada, pomoże wybrać ciastko i kawę ze zbyt długiego menu. Zapłaci za nią.

Nie raz i nie dwa za nią jeszcze zapłaci. To, że on nie lubi wydawać pieniędzy, Mariola zrozumie później.

To, że nie lubi wydawać pieniędzy na nią, zrozumie jeszcze trochę później, ale wtedy, w kawiarni, będzie próbował ją oczarować. Będzie jej imponował. Szczodrym gestem i błyskiem w oku, uśmiechem, czytaniem i obyciem. Zadbanyimi paznokciami i pantoflami o czystych noskach.

A potem będzie ta noc, kiedy on będzie chciał, a ona będzie mówić o ślubie. Ona pomyśli, że go przekonała, a on będzie udawał, że to świetny pomysł, i będą prowadzić tę grę, aż odejdą sprzed ołtarza, błogosławieni konkordatową ręką i połączeni węzłem małżeńskim.

Później, wypożyczoną białą limuzyną pojedą weselić się na wynajętej sali, gdzie on spije się do nieprzytomności i naubliża jej po raz pierwszy za to, że ośmieliła się zauważyć, jak łapie za tyłek swoją byłą dziewczynę.

Mariola nie zrozumie, że to był pierwszy sygnał, że to był moment, kiedy stało się zbyt późno. Podpisała swoją umowę na resztę życia.

Noc poślubna czy też raczej „konsumpcja” przesunie się na późne popołudnie, kiedy jej oblubieniec zbudzi się ze srogim kacem oznajmającym koniec kawalerskiego żywota i początek spokojnego, ustabilizowanego życia.

Mariola szybko się nauczy, że w tym życiu zajmuje mało zaszczytne ostatnie miejsce. Daleko za złośliwym teściem i obojętną teściową, za przyjaciółmi z podwórka i – co gorsza – za kolegami z pracy. I oczywiście za koleżankami. Jakimikolwiek koleżankami.

Mariola będzie próbowała znaleźć w tym wszystkim sens, odnaleźć swoje miejsce i przypomnieć ukochanemu, że przecież są razem po to, żeby żyć razem, bawić się razem i razem znosić los.



Wtedy usłyszy pod swoim adresem kilka brzydkich słów, takich, których nigdy wcześniej od niego nie słyszała, a które wyjaśnią jej, jak bardzo się pomyliła.

Dziecko przyjdzie na świat równo dziesięć miesięcy po ślubie i zamiast spoiwem tego małżeństwa stanie się linią terminatora rozdzielającą od siebie małżonków na zawsze.

Niewyspana Mariola dowie się, że miłość i pożądanie potrafią zamienić się w zwyczajną chuć, jego chuć, którą trzeba zaspokajać dla świętego spokoju. Mąż w brutalnych słowach i jeszcze brutalniejszych czynach przypomni jej, że nie wypuszcza się z domu faceta z pełnymi jajami i pustym żołądkiem, a ta nauczka złamie serce Marioli.

Kolejne dziecko złamie w niej ducha.

Od teraz będzie się jej wydawało, że należy zupełnie do faceta którego kiedyś kochała, a który sukcesywnie rujnuje jej życie. Zaplątana w pranie, gotowanie i pieluchy doświadczy zarówno fizycznej przemocy, jak i psychicznych upokorzeń.

Wszystko w niej pęknie pod hipermarketem, kiedy pchając wózek z zakupami, ciągnąc za rękę syna i młodszą córkę, zostanie zwyzywana bez powodu przez męża i zwyczajnie oraz w przenośni opluta.

Wróci do domu, bo nie będzie miała dokąd pójść.

Będzie znosić to wszystko póki dzieci nie dorosną i nie wyprowadzą się, a ona odkryje, że wszystkie te wolne chwile między sprzątaniem a przygotowywaniem kolejnych posiłków nie są wolnością, a zniewoleniem.

Wtedy dopiero, po wielu latach, zrozumie, czym jest prawdziwa dominacja i kara, oraz jak nietrwałe są miłość i pożądanie.

I znienawidzi siebie sprzed kilkudziesięciu lat.

## Różnice pokoleniowe (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – sierpień 2015)

Babcia Eryczka lubiła dokarmiać koty w ogródku.

Eryczek podobnie, ale nie koty tylko boty i nie w ogródku, a na swoim blogu.

Podczas pisania contentu dla czytelników, często celowo i bez zabezpieczeń umieszczał w treści fikcyjny adres e-mail, na który boty rzucały się całymi stadami i natychmiast zapisywały w odmętach spammerskich baz danych. Zdarzało mu się też czasem podrzucić kilka bzdurnych i zapętlonych linków, na które łapały się bezpańskie crawlery. Kręciły się w kółko na karuzeli źle napisanych algorytmów, nabijając w statystykach bloga liczniki wejść, póki Eryczek nie kasował posta z litości.

Babcia Eryczka wołała rzucać z okna kawałki mięsa.

# Detektyw

(Opublikowane w **Szortal na wynos - wydanie specjalne** - Lato 2015)

Robin Bret był chyba najgorzej opłacanym detektywem w mieście. A to ze względu na brak premii, których przełożeni regularnie mu skąpili. Zresztą nie było w tym nic dziwnego, miał przecież najgorszą wykrywalność w całym Wydziale Zabójstw. Tego zaś przyczyną był fakt, że Bret tropił najczęściej morderstwa dokonane przez samego siebie, więc siłą rzeczy, kiedy już udało mu się sprawę rozwiązać, nie dokonywał aresztowania.

Ofiara, w której mieszkaniu się znajdował, była młodą, atrakcyjną brunetką – tyle mówiły stojące na szafce zdjęcia, bo zabójca sprawił, że twarz dziewczyny zmieniła się w zwęgloną skorupę.

Stojący w drzwiach technik pstryknął fotkę i przesunął się, wpuszczając do środka niecierpliwącego się nekromantę. Robin go znał.

– Cześć, John – rzucił, odsuwając się od łóżka, na którym leżała zamordowana.

Przybyły mruknął coś niechętnie pod nosem i stanął przy dziewczynie, kładąc obok resztek jej policzka małą walizkę.

– Znowu wypalona – stwierdził.

Westchnął z rezygnacją i zaczął rozstawiać sprzęt.

Robin wiedział, co nekromanta ma na myśli. Nie da się zdjąć cyfrowego zapisu, morderca wypalił dziewczynie ośrodki pamięci długotrwałej. Prawdopodobnie potylicą ofiary była równie poparzona jak twarz, ale to mieli sprawdzić za chwilę. John Sully widział takie ślady wielokrotnie w swojej karierze i zdawał sobie sprawę, że nic z ofiary nie wyczyta. Robin również miał okazję widzieć podobnie okaleczone ciała i również wiedział, że odczyt przy takich uszkodzeniach jest niemożliwy. A Sully był dodatkowo niezadowolony, bo fakt, że o tym wiedział, nie zwalniał go z obowiązku przeprowadzania procedury nekroskopii.

Otworzył walizkę, wyciągnął torbę foliową z jednorazową pajęczyną siatki elektrodowej i naciągnął ją na zmasakrowaną głowę ofiary. Potem usiadł na stojącym przy łóżku krześle i nałożył sobie na czoło odbiornik.

Detektyw wiedział, co teraz się stanie. John będzie miał drgawki, będzie rzucał pod nosem pojedyncze, oderwane słowa, jakby mamrotał istotne dla całego procesu zaklęcia. Ale to były tylko „echa”, przesyłane przez nekrograf resztki pamięci zamordowanej werbalizowane przez umysł nekromanty. Resztki dogorywającej, niewysmażonej do końca pamięci semantycznej.

Robin potarł odruchowo prawą skroń, na której tuż przy gęstej brwi wszczepiony miał obiektyw mem-camu. Wypadek, którego doznał trzy lata temu sprawił, że cierpiał na zaniki pamięci, a

podłączony do mózgu mem–cam pozwalał mu odtwarzać i przypominać sobie minione zdarzenia. Ot, prosty zabieg, seryjny implant i gotowe. Urządzenie dawało się jednak wyłączyć, a Robin zdawał sobie sprawę z coraz częściej przytrafiających mu się zamierzonych amnezji. To, że zamordował tę dziewczynę, było pewne. Potwierdzał to zarówno sposób, w jaki wyczyszczono pamięć ofiary, jak i skrzyżowane palce u jej lewej dłoni. Aż dziwne, że nikt inny z Wydziału nie zwrócił uwagi na ten mały podpis seryjnego mordercy. Ktoś w końcu na to wpadnie.

W międzyczasie nekromanta skończył się trząść, stękać i bełkotać nad ofiarą i detektyw miał wrażenie, że wszystko poszło szybciej niż zwykle. Sully otarł czoło i usta dobytą skądś chusteczką, po czym zaczął się pakować.

– I co? – zapytał Robin ze zwykłej grzeczności.

– Gówno – usłyszał w odpowiedzi.

Wzruszył ramionami. Czyli brak odczytu. Normalka.

Ponownie spojrzał na zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny i zamyślił się. Jeśli wypadek, którego doznał, spowodował jakieś zmiany w mózgu, jeśli wywołał jakieś psychotyczne dewiacje, pod wpływem których mordował te wszystkie kobiety... powinien się zgłosić. Zadenuncjować się. Pójść do kapitana, przyznać się do wszystkiego.

Niestety większą przyjemność sprawiało mu odkrywanie prawdy kawałek po kawałku. W jaki sposób poznał ofiarę? Przecież nigdy wcześniej nie widział jej na oczy. Jaki miał motyw?

Nekromanta opuszczał właśnie pokój klnąc cicho pod nosem.

Robin skinął na stojącego w kącie patologa.

– Zaczynaj pan – wskazał ofiarę. – Do jutra chcę widzieć, co było dokładną przyczyną śmierci.

Rozpoczęło się polowanie.

# Piwnica

(Opublikowane w **Szortal na wynos - wydanie specjalne** - Lato 2015)

– Daj mi wody – mówię do Rudej.

Nie słyszy mnie. Albo prędkiej udaje, że mnie nie słyszy, na jedno wychodzi. Siedzi skulona pod ścianą, brudną twarz schowała między kolanami.

– Wody! – powtarzam głośniej.

Nic. Z boku dobiega mamrotanie Januszka. Trzyma matkę za rękę, głaszcze jej dłoń i kiwa się rytmicznie. W przód. W tył. W przód. W tył. Jak wahadło.

Jego nie mam co prosić, nie odszedłby od łóżka, nawet gdyby świat się zawalił. A przecież się zawalił.

Głośny rechot przecina ciszę w piwnicy. Chrapliwy i suchy.

Uświadamiam sobie, że słyszę własny śmiech. Morfina zaczęła działać. Zaraz odpłynę.

– Ruda! – krzyczę. – Daj mi! Kurwa! Wody!

Gorączkowo obmacuję swoją wojskową kurtkę i w kieszeni na piersi znajduję kilka monet. Rzucam je wszystkie w stronę dziewczyny. Podskakuje, kiedy spadają na jej głowę i ramiona. Drobne, brzęcząc, toczą się w ciemność.

Ruda kuli się jeszcze bardziej.

– Widzę, że nie śpisz, pizdo! – warczę. – Pić! Chce mi się pić!

Nic.

Jest mi niewygodnie. Opieram się o ścianę plecami, a tyłek marznie od zimnej podłogi.

Zacieram ręce. Chcę zrobić coś jeszcze, żeby wybić Rudą z tego stuporu, ale już po chwili wszystko mi obojętnieje. Moje złorzeczenia pod adresem dziewczyny szybko zmieniają się w bełkot, a i ten po chwili gaśnie.

Robi mi się wszystko jedno.

Robi mi się błogo.

Tylko ta suchość w ustach.

Próbuję oblizać wargi. Raz, drugi, trzeci.

Nic.

\*\*\*

Budzi mnie mantra Januszka. Niekończący się słowotok. Jego codzienny koncert życzeń dla mamusi.

– ...a potem pójdziemy do parku. Do Łazienek. Albo na Pole Mokotowskie. Albo na

Starówkę... – Chłopak poprawia koc, którym przykryta jest kobieta.

Wyciągam głowę, żeby się jej przyjrzeć, ale dostrzegam tylko fragment czupryny. W ich kącie jest tak ciemno, że nawet nie potrafię określić koloru jej włosów. Przyświecająca nam latarka skierowana jest w inną stronę.

– ...staniemy pod Kolumną Zygmunta, tak jak kiedyś. I pójdziemy do Zamku Królewskiego. Albo nad Wisłę, mamó. Popłyniemy tramwajem wodnym. Kiedyś się bałem, pamiętasz? Ale teraz się nie boję. Popłyniemy.

Mimowolnie zaczynam się śmiać. Nerwowo. Przecieram spierzchnięte usta, potem oczy.

– Przestać pieprzyć, chłopaku! – wtrącam głośno. Ile ten dzieciak ma lat? Czternaście? Piętnaście? – Nie ma już Kolumny Zygmunta! Nie ma parków w Warszawie!

– Niech pan się zamknie! – słyszę w odpowiedzi i zaczynam się śmiać jeszcze głośniejsze z tej ugrzecznionej złości Januszka.

– Wisła?! – Podnoszę głos. – Warszawa nie leży już nad Wisłą! Przestań już gadać te bzdury. Wody byś przyniósł.

Chłopak zatyka uszy i wtula głowę gdzieś obok głowy swojej rodzicielki.

Śwędzi mnie lewa stopa. Odsuwam okrywający mnie koc i sięgam w dół, żeby się podrapać. Palce trafiają w próżnię. No tak. Moja noga. Od kolana w dół zamieniła się w brak nogi. Ile to już? Dwa tygodnie? Nie mam lewej śwędzącej stopy. To bóle fantomowe. Tak to chyba nazwała Natka. Bóle fantomowe.

Zamyślam się na chwilę. Natka. Ostatni anioł na tym pierdolonym padole. Upadły anioł. Nie, to złe słowo. Zbrukany. Przedstawiła się jako Natka i od razu dodała, że to zdrobnienie od Natalii, a nie od Nataszy. Biedna dziewczyna. Jak to jest zostać zgwałconą przez ludzi, od których oczekuje się pomocy? Nie przez wroga, nie przez okupanta, ale przez „swoich”. Rodaków.

Ile czasu minęło, od kiedy wyszła poszukać wody? Nie wiem. Zgubiłem się. Nie liczyłem dni, a odkąd Ruda oddała mi we władanie pudełko z ampułkami morfiny, upływ czasu stał mi się zupełnie obojętny.

Przypomina mi się nagle imię Rudej – Maria. Tak przynajmniej twierdziła Natka, która z nią rozmawiała. Do mnie dziewczyna nie odezwała się do tej pory ani słowem.

– ...nie słuchaj go, mamó – dobiega mnie z boku. – To zły człowiek. Kłamca. Pamiętasz, jak mówiłaś, że są tacy ludzie? Kłamią, żeby kłamać. To jeden z nich.

– Pierdolony – mruczę pod nosem i głośno już dodaję: – Wody idź poszukaj, gnoju! Bo ci staruszka wyschnie na wiórek!

Chłopak znowu wtula się w matkę.

Rozglądam się, ale nie widzę Rudej. Pewnie wyszła za potrzebą. Tylko wtedy opuszcza piwnicę. Zwykle siedzi pod ścianą, skulona, i udaje, że jej nie ma.

Noga mnie boli. Pieprzone wnyki. Gdyby nie Natalia... Miała wystarczająco siły, żeby wciągnąć mnie do tej piwnicy i zająć się moją straskaną piszczelą. Powiedziała, że nie da się jej poskładać. Kiedyś pewnie tak – poskręcaliby na śruby i uratowali. A teraz... Mówiła, że przed Błyskiem była lekarką. Chirurgiem. Po Błysku stała się nikim – jak wielu innych. Uwierzyłem jej dopiero, gdy zobaczyłem kikut nogi, z opatrzonymi naczyniami krwionośnymi i podwiniętą skórą. Prawie się wtedy porzygałem.

Potem przyszła złość. Natka mówiła coś, że będę przechodził kilka faz. Złość, odrzucenie, akceptacja... Bzdury. Teraz przechodziłem fazę pragnienia.

– Ruda! – krzyknąłem.

– ...pójdziemy znowu na Plac Konstytucji, tam gdzie była ta kawiarenka i te pyszne lody...

– Maria!

– ...albo hamburgery w MacDonalddie. Wiem, że nie powinienem, ale... mam. Jestem taki głodny...

– Zamknij mordę! – wyję. – Tam nic nie ma! Nic!!

Głos Januszka nie milknie nawet na chwilę, tylko wchodzi jakby na wyższe obroty. Chłopak znowu ujmuje dłoń matki i głaszcze ją delikatnie. Nie przestaje ględzić.

Pocieram wierzchem dłoni brodę i próbuję ocenić upływ czasu. Nic mi to nie daje. Uświadamiam sobie jedynie, że dawno się nie goliłem.

– Januszek – chrypię. – Ile minęło czasu, od kiedy Natka wyszła?

Gówniarz burczy w odpowiedzi coś nieuprzejmego.

Wciągam mocno powietrze.

Coś śmierdzi. Obwąchuję się. Tak, to mogę być ja. Dawno się nie myłem, a po morfinie najwyraźniej zlałem się w gacie. Ale coś jeszcze.

– ...pójdziemy do KFC. Na frytki i colę...

– Januszek – wołam ostrożnie. – Twoja matka chyba umarła. I to jakiś czas temu?

Pociągam nosem mocniej.

– Niech pan się do mnie nie odzywa!

– Maria! – rozdieram się znowu. – Stara wykorkowała! I śmierdzi!

– Mamo, mamo, nie słuchaj go!

– Czekaj, gnojku!

Próbuję wstać. Mam w końcu drugą nogę. Nie muszę leżeć. Nie muszę, kurwa, leżeć! Odrywam się od ściany, o którą się opierałem do tej pory i próbuję się unieść, ale zawadzam o coś kikutem i z bólu ciemnieje mi w oczach. Kręci mi się w głowie. Jednak nie dam rady.

Przewracam się na brzuch, a noga protestuje wzmożonym bólem. Zaciskam zęby.

– Kiedy wyszła? – powtarzam pytanie ciężkim głosem i przesuwam się nieznacznie w stronę

chłopaka.

Nie słyszę odpowiedzi, więc znowu spinam się i przyciągam o kolejne pół metra. I jeszcze trochę. Pot spływa mi po nosie.

– Kiedy? Kiedy, Januszek?

Dzieciak milczy. Przytulił twarz do głowy matki i zerka na mnie nerwowo.

Metr po metrze przyczołguję się do łóżka. Wspieram się, opierając na zdrowej nodze i unoszę wyżej. W końcu mogę stwierdzić, że jego matka była blondynką.

Ale gdy dostrzegam, że jeden z policzków kobiety jest wygryziony, a przez dziurę w nim świecą białe zęby, rzucam się odruchowo w tył.

Brakuje mi podparcia. Potykam się i upadam na plecy. Walę potylicą o podłogę, jednak nie tracę przytomności. Wspierając się na rękach, nie odrywając wzroku od Januszka, wycofuję się jak najdalej od łóżka. Synek, kurwa! Jebany trupojad!

– Kurwa mać! – krzyczę.

Czołgam się na drugą stronę piwnicy, tam gdzie leży latarka. Kikut ciągnie i jest źródłem nieustającego bólu. Powinienem sobie wstrzyknąć morfinę. Może chociaż pół ampułki, żeby mnie nie wyłączyło, tylko żeby przestało tak cholernie napieprzać! Łokieć za łokciem, odpychając się zdrową nogą, przesuwam się bliżej drzwi.

Łapię latarkę. Omiotam snopem światła Januszka i zwłoki jego starej.

– Natka! – wołam. – Maria?!

Odpowiada mi cisza.

Powinienem stąd wiać, ale nie mam siły.

Kieruję latarkę w stronę wyjścia z piwnicy. Drzwi są uchylone. Przyświecam w głąb korytarza i dostrzegam parę unoszących się w powietrzu butów. To szmaciaki Rudej.

– Nie, kurwa – szepczę i przyświecam wyżej. Opuchnięta twarz. Otwarte oczy. Ruda. A przynajmniej coś, co kiedyś nią było.

Klnę jak nigdy dotąd.

Ale na dziewczynie nie robi to żadnego wrażenia.

Znowu mi się kręci w głowie. Pić!

Zamykam oczy.

Dalej w piwnicy czuję ten słodki odór rozkładu.

Jakaś myśl nie daje mi spokoju. Dręczy. Wierci dziurę w mózgu.

Siadam pod ścianą i z namysłem spoglądam na opatrunek wieńczący mój kikut. Odwijam go ostrożnie. Smrodek, który czułem wcześniej, staje się intensywniejszy. Obwąchuję bandaż. Mimo tego, że dawno nic nie jadłem, jakaś kula podchodzi mi do gardła, a ślina wypełnia mi usta. Powstrzymuję wymioty.



I nagle zaczynam się śmiać. Najpierw wydobywa się ze mnie krótkie parsknięcie, potem rechoczę głośniej i coraz dłużej. Rzucam bandaż w kąt i ocieram oczy wierzchem dłoni.

– Januszek!

Chłopak zupełnie mnie ignoruje, buja się jedynie w przód i w tył, ściskając matkę za rękę.

– Januszek! Podaj mi morfinę.

Jego coraz głośniejsze mamrotanie sprawia, że mocniej kręci mi się w głowie. Opieram się wygodniej o ścianę.

– Januszek, kurwa! Przynieś mi pudełko. Jestem za słaby.

Bez odzewu.

Tylko jego głos, silniejszy z każdym wypowiedzianym słowem, wypełnia powoli całą piwnicę:

– ...mamo, mamo, mamo....

Zatykam uszy.

– ...mamo, mamo, mamo...

# Joachim

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - grudzień 2015)

Joachim nie był nikim ważnym. Na dobrą sprawę po prostu był nikim.

Wiódł bezbarwne i puste życie – problemy omijały go z daleka, a szczęście trzymało się w bezpiecznej odległości.

Kiedyś, podczas kąpieli, Joachim zastanowił się, co wypłynęłoby z niego, gdyby otworzył sobie żyły. Och, oczywiście wiedział, że krew, ale miał dziwne przeczucie, że nie tylko. Naturalnie Joachim był niespełna rozumu. Kiedyś podobna myśl pewnie by go przeraziła – ostre narzędzie, okaleczenie się, ból – okropność! Ale tym razem nie poczuł zwykłego wstrętu czy obrzydzenia, bardziej ciekawość.

Tego dnia nic z tym nie zrobił.

Jednak pomysł zagnieździł się w głowie Joachima, zapuścił korzenie i przypominał o sobie regularnie, podczas kolejnych kąpieli.

Siódmego dnia Joachim podjął decyzję.

Sposób w jaki tego dokonał nie był istotny, ważne było, że nie zawiodło go przeczucie i wraz z krwią, której obecność traktował jako efekt uboczny eksperymentu, wypłynęły wspomnienia. Wyszczyły się z niego powoli, wlały do wanny i otoczyły szczelnym kokonem.

Najpierw zaczęły go mrowić palce u nóg. Poczuł nimi nagrzaną piasek plaż Turcji i Egiptu, ale też i grubsze ziarenka znad rodzimego Bałtyku. Zanim zdążył się nacieszyć tym wspomnieniem, na łydce poczuł zęby psa, który ugryzł go przed dwudziestoma laty. Podkurczył odruchowo nogę, a wtedy w pośladek trafił klaps, ten sam, który dostał od swojej ukochanej, zanim odeszła. Mówiła, że ma fajny tyłek. Wspomnienie, które sięgnęło podbrzusza, sprawiło, że Joachim zawstydził się pruderyjnie. Ale potem coś wymierzyło mu cios, trochę pod pępkiem. Rozpoznał to przewlekłe klucie – zapalenie wyrostka sprzed trzech lat. A potem poczuł astmatyczną duszność w piersi. Nogi znowu biegły przez pobliskie pola, kiedy jeszcze dbał o zdrowie. Zacisnął dłoń na starym dłucie, którym usiłował kiedyś rzeźbić w kawałku drewna. Dłuto zmieniło się w glinę, którą dawno temu ugniatał na zajęciach plastyki. Pod nos podpłynął zapach pierogów.

Wysłuchany we wspomnienia Joachim siedział tam tak długo, póki nie umarł.

Ale nie wiedział o tym, bo rozpuścił się w wodzie.

Właściwie to żył jeszcze w wannie pełnej wspomnień, nawet kiedy jego ciało zostało z niej wydobyte, zapakowane w czarny worek i wywiezione do kostnicy.

Aż na koniec ktoś wyjął korek i świadomość Joachima rozproszyła się w ściekach. Płynąc rurami, Joachim zdążył się zastanowić, czy jego jaźń stopi się w jedność z miejską oczyszczalnią.

Oczywiście tak się nie stało.

# Potwory

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - marzec 2015)

Ciszę przerywa głośny okrzyk.

Unoszę ciężko głowę i spoglądam przed siebie. To mój pan. Pędzi galopem jak wichur, z opuszczoną przyłbicą. Wbija ostrogi w boki konia. Dolatują mnie jakieś słowa o bestiach, potworach, które trzeba pokonać.

Po plecach przebiega mi dreszcz, a zęby zaciskają się nerwowo. Znowu to samo.

Ruszam powoli za nim. Nie spieszę się. Nie zatrzymam go przecież i mu nie przeszkodzę. Zbyt wiele razy już próbowałem.

Zdejmuję kapelusz i ocieram czoło. Nad uchem bzyczy mucha, odganiam ją niecierpliwym gestem. Co za upał!

Widzę, jak mój pan opuszcza kopię, pochyla się i usztywnia rękę trzymającą długie drzewce, jak prostuje się tuż przed samym uderzeniem. Odwracam wzrok.

Nie chcę tego oglądać.

Słyszę głuchy odgłos, głośny jęk blach pancerza i trzask pękającego drewna.

Mój pan leży na plecach. Nie rusza się, ręce ma rozrzucone na boki. Jego koń odchodzi dwa kroki w bok, zawraca nerwowo i zwiesza smętnie głowę. Przywykł. Tak jak ja.

Zsiadam z osiołka i klękam obok mego pana. Ściągam mu rękawice. Uruchamiam moduł diagnostyczny pakietu medycznego i przypinam elektrody. Sprawdzam tętno i oddech. Szukam złamań, tętniaków pourazowych i krwiaków podtwardówkowych. Ekran wyświetla wyniki, a iniektor w tym czasie wkłuwają się w żyły i dozują jakieś płyny.

Siadam pod ścianą, opierając się o nią plecami. Ujmuję delikatnie dłoń mego pana i gładzę ją lekko. Jest strasznie wychudzona.

– Mogę uleczyć twoje ciało – mruczę cicho – Dlaczego nie mogę uleczyć twojej duszy?

Nad nami leniwie obracają się ramiona wiatraka.

## Poranek

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - marzec 2015)

Coś wyrywa mnie ze snu. Szarpanie za ramię.

– ...dasz radę... – słyszę. Głos jest bezbarwny i chrapliwy, jakby jego właściciel za dużo wypalił poprzedniej nocy.

Obracam się na drugi bok i próbuję ukryć twarz w poduszce. Iskra świadomości, która raczyła we mnie na chwilę rozbłysnąć, zgasła i zdecydowała się jednak spać dalej.

Czuję nagle, jak obce ręce chwytają mnie pod pachy i w ułamku sekundy ląduję mordą na podłodze. Staram się podnieść, ale rezultaty nie są zadowalające.

„Jestem płaski”, myślę. „Jestem płaszczakiem, prostą analogią nauczycieli fizyki służącą do opisywania życia zredukowanego do dwóch wymiarów...”

Muszę wstać.

Najpierw kolana, trzeba podciągnąć wyżej dupę, łokcie w górę i oprzeć się na rękach. Na razie stać mnie tylko na tyle. Do łazienki docieram na czworakach, a oczy otwieram dopiero kiedy przypieprzam skronią w szafkę. No dawaj, wstawaj, tam jest umywalka, więc odkręć wodę, zacznij rytuał i wypierdalaj do pracy.

I gdy kończę ablucje, kiedy się już rozkręcam, kiedy wydaje się, że tym razem będzie dobrze, nagle – stop! Hamulec! Muszę się ubrać, a czuję się jak kobieta, która ma dwie szafy zajebane ciuchami pod sam sufit i nie ma co na siebie włożyć. Brak pomysłu.

Zaczynam więc od rzeczy najprostszych.

Ze stojącej na pralce miski wydaję uśmiech i zakładam na pysk. Uśmiech jest krzywy, ironiczny, paskudny po prostu. Do prania. To może ten? Za smutny. A ten? Co to, kurwa, jest!? To w ogóle nie przypomina uśmiechu, to jakiś odpychający grymas! Grzebię dalej, wybieram, wybrzydzam i w końcu znajduję coś dziwnego. Uśmiech pożądlivy, namolny, z przyszytym napalonym spojrzeniem. To chyba nie moje?

Wzdycham. Nic z tego nie będzie. Pamiętam, że miałem gdzieś nikły uśmiech, ale nie mogę go teraz znaleźć. A może go wyrzuciłem razem ze zblazowanym i niepewnym? Trudno, dziś będzie Dzień Kamiennej Japy.

Przechodzę do pokoju i otwieram szafę. *Fuck*, co za bajzel! No i w co tu się ubrać, no w co?

Radość jest tak wygnieciona, że wstyd byłoby założyć, a zresztą, nie mam do niej uśmiechu. Won! – rzucam ją w kąt. To może jakieś silne postanowienie? Leży kilka na półce. Przebieram wśród nich i ze zgrozą znajduję jedno noworoczne sprzed... dziesięciu lat? Wyciągam je i oglądam pod światło, wygląda jakby opierdoliły je mole i to dość dawno. Trzeba się będzie tego jak

najszybciej pozbyć zanim... Niestety jest za późno. Reszta postanowień jest równie zniszczona. Zaniedbane, dziurawe, żalosne. Precz z szafy!

To może zaufanie? Ha, ha, zaufanie! Dobre sobie, coś mam nie tak z głową dzisiaj. Zaufanie, też coś. Równie dobrze mógłbym założyć uprzejmość do tramwaju. Bzdura!

O! To dobre – wyciągam z szafy obojętność, grubą, porządnie utkaną. „Hartowana w relacjach międzyludzkich”, czytam na metce, „Made in Poland”. Nie pamiętam skąd ją mam, ale będzie doskonała jako wierzchnie okrycie. Na spód trzeba znaleźć coś innego. Odkładam ją na krzesło obok. Chyba tu się wczoraj rozbierałem, bo znajduję walające się po podłodze niechęć, ból dupy, kilka brzydkich słów i dwie cięte riposty. Schylam się i podłączam riposty do ładowarki, przydadzą się jutro.

Co ja tu jeszcze mam? Opryskliwość i chamstwo w dwóch wariantach – zwykłe burackie i drugie złożone, wysublimowane, na specjalne okazje.

A co to?

W kącie za wyrzutami sumienia i poczuciem winy leżą – puste jak wydmuszki – miłość, nadzieja i worek z marzeniami. Worek jest szorstki i sparciały, cofam szybko dłoń, żeby przypadkiem się nie rozpruł. Kiedyś mi się to przytrafiło, marzenia rozpełzły się po całym domu, musiałem użyć rozpuszczalnika, żeby niektórych się pozbyć.

Wracam do łazienki. Nie uda mi się ten dzień. Jak poprzedni zresztą, nie ma co rozpaczać. Na szklanej półce pod lustrem leży kreska szarego proszku. Obok niej sporych rozmiarów *zipper bag* z całą resztą towaru. Zastanawiam się tylko chwilę. Roluję stówacza i wciągam nosem potężną dawkę prokrastynacji. Świat nagle blednie i staje się nijaki. Nawet nie przypuszczałem, jak wiele wyzwania otaczało mnie do tej pory. Teraz oddalają się ode mnie, znikają, rozplývają w powietrzu, wydaje mi się, że do tej pory nie mogłem oddychać, a teraz – luksus. Relaks. Czuję jednak, że diler mnie przekreślił, domieszał zwykłe lenistwo, gnojek.

Usypuję ścieżkę, ale zanim walnę kolejną porcję, z sypialni dobiega mnie jakiś hałas. Ruszam tam szybko, ale we łbie wszystko mi się już koncertowo pierdoli. Nie zdołam chyba dzisiaj wyjść z domu.

Znowu to słyszę. Chrapnięcie. W moim łóżku ktoś leży. Potargany, niegolony blondas, o mordzie bez wyrazu. Szarpię go za ramię.

– Może ty za mnie dasz radę? – pytam. Odwraca się do mnie plecami.

Łapię go pod pachy, wyciągam z łóżka i rzucam na podłogę. Sprzedałbym mu kopa, ale zawroty głowy nasilają się niebezpiecznie. Wskakuję na zwolnione miejsce i opatulam się mięciutką, przyjemnie ciepłą kołdrą. Słyszę, jak facet coś tam mruczy pod nosem, ale ja już zamykam oczy i odpływam.

„Dasz radę”, myślę.

# Tygrys i Czarownica

(Opublikowane w portalu [fantastyka.pl](http://fantastyka.pl) – 2015)

O Czarownicy snuli legendy.

Ale jak ich nie snuć, kiedy nawet sam sołtys przyznawał niedyskretnie, że Czarownica mieszkała tu już wtedy, gdy jego własny pradziad był ledwie chłopcem.

Historii jej przybycia do wioski towarzyszyły opowieści o płonącym niebie i o gwiazdach, które nie tylko pozostawiały błyszczące smugi, ale naprawdę spadały z hukiem. Mówili, że to od tamtych wydarzeń, Wiara, jakby na przekór pozostałym dwóm księżycom, zaczął krążyć z zachodu na wschód.

Nikt nie wiedział jak było naprawdę, bo nikt nie pamiętał. Były tylko legendy, które coraz bardziej zniekształcone przechodziły z ojca na syna i z matki na córkę.

I była Czarownica.

Ona sama mawiała, że nie przybyła jedynie do tej jednej wsi, do Miłobądzi, a po prostu tę planetę wybrała jako nowy dom. A to miejsce? Bo to przecież lokalizacja wspaniała – niedaleko delty jednej z największych rzek kontynentu.

Kiwali ludzie zgodnie głowami, nie rozumiejąc co mówi do nich wielka pani, bo i nie potrzebowali rozumieć. Najważniejsze było, że choroby przepędziła wszelkie, te ludzkie i te bydlęce. A kiedy kogoś niemoc brała, choćby i największa, wystarczyło Czarownicę przez specjalne pudełko, które im podarowała wezwać, i zjawiała się natychmiast. Nawet jeśli to w innej wsi było, o wiele dni drogi oddalonej.

Czarownica zamieszkała godzinę drogi pieszo od Miłobądzi, w dziwnym domu ze szkła i połyskującego metalu, który wybudowała dla siebie w ciągu zaledwie jednej nocy.

Nikt nie wiedział czym zajmuje się Czarownica. Nikogo do siebie nie zapraszała, ni kobiet miłobądzkich, ni chłopów, ani nawet żadnego zwierzaka dla rozrywki w domu nie trzymała.

Pewnego razu chmury w niebie nad wsią zabłysły żywym ogniem. Rozjarzyły się, a potem rozstały. Wyleciało z nich coś olbrzymiego, co wyglądem trochę przypominało ptaka, ale nim nie było. Nawet jeśli Czarownica opowiadała kiedyś tubylcom o statkach kosmicznych, to nie skojarzyli tej opowieści z metalowym ptakiem, który właśnie lądował niedaleko wsi, na środku pól uprawnych.

Sołtys, którego mieszkańcy wysłali sprawdzić co to za cudo, został czymś poparzony, chociaż nawet nie zdołał podejść na rzut kamieniem do dziwnej maszyny. Uratował go syn, zawłókłszy ledwie żywego z powrotem do wioski. Żona sołtysa, przez magiczne pudełko wezwała Czarownicę.

Ale Czarownica już wiedziała, że coś się stało.

Szła przez pole do lądownika, nie zważając na ochronną barierę mikrofalową rozpalającą do czerwoności każdy żywy organizm w promieniu stu metrów. Zbliżając się do statku, muskała dłonią kłosa pszeniczne, które wręcz zdawały się dopraszać o taką pieśczętę i wdychała przesycone ich wonią gorące powietrze. Szła niespiesznie, ostrożnie podpatrując sześciu roślących żołnierzy rozkładających przed trapek plecaki, śpiwory i namioty. Nie wiedzieli jej jeszcze.

– Ile zajmie naprawa, Walker? – rzucił jeden z nich, którego Czarownica zidentyfikowała po dystynkcjach na mundurze jako najstarszego stopniem.

Wywołany, jedyny brunet wśród jasnowłosych towarzyszy, wyprężył się.

– Dwa, może trzy dni, panie kapitanie! – odpowiedział. – To tylko awaria systemu podtrzymywania życia. Naprawimy go na planecie i możemy ruszać.

– Dobrze. – Kapitan odwrócił się do puciołowatego żołnierza stojącego nieco z boku. – Sierzancie, rozstawcie obóz. I wyprowadźcie Tygrysa. Nie chcę, żeby zdechł z braku tlenu, na nadającej się do życia planecie.

Rubaszny śmiech okraślił słowa kapitana.

– Blachowiak, Vogel – warknął sierżant ucinając wybuch wesołości. – Do roboty. Schronienie dla pana kapitana, migiem.

– Tak jest! – wydarli się wywołani i rzucili się do leżących pakunków.

– A wy dwaj – sierżant pokazał palcem Walkera i stojącego obok ostatniego z żołnierzy – wynieście Tygrysa i postawcie gdzieś z boku. A potem naprawcie to pudło.

Czarownica obserwowała, jak żołnierze, z pomocą sierżanta, pospiesznie rozkładają wysoki namiot.

Ale kiedy pozostali dwaj wynieśli Tygrysa, doznała wrażenia, że coś ścisnęło jej serce, albo że zabrakło jej zwyczajnie tchu. A może wszystko naraz.

Prawdziwy Tygrys z Persefony.

Leżał w klatce, opierając się barkiem o pręty. Głowę ułożył na grubych łapach o długich jak sztylety pazurach. Czerwonopomarańczowe futro w czarne pasy unosiło się w górę i w dół w kolejnych, ciężkich oddechach. Mimo pozornego spokoju, Tygrys zdawał się być spięty i gotowy do skoku. Koniuszek ogona drgał lekko.

– Uwolnijcie go! – powiedziała głośno Czarownica. – Natychmiast!

Rozkaz nie przyniósł spodziewanego efektu.

Kapitan sięgnął do kabury po pistolet i wymierzył w głowę Czarownicy. Sierżant wydobył nóż. Trzej żołnierze sięgnęli błyskawicznie po karabiny i podobnie jak kapitan, wycelowali je w stronę przybyłej.

– Na ziemię! – warknął kapitan.

– Na ziemię, suko! – przekrzykiwali się wzajemnie żołnierze.



– Jak przeszłaś barierę?! – krzyczał sierżant.

Walker jako jedyny nie sięgnął po broń i zachował spokój. Uniósł ręce, skierowane pustymi dłońmi w stronę Czarownicy.

– Panie kapitanie, niech pan schowa pistolet – powiedział powoli.

– Stul pysk! – ryknął sierżant – do oficera mówisz!

– Kapitanie! – Walker zignorował go i podniósł głos. – To Wiedźma. Odłóżmy broń.

Dowódca dalej mierzył w głowę kobiety. Ruszył powoli, zachodząc ją z boku.

– Brednie – oznajmił już spokojniej. – Singularianka? Mówisz o tej kontrolującej rzeczywistość na poziomie kwantowym rasie? Nie istniejącej, dodajmy, rasie? Których nazywają też Osobliwościami?

Każdemu jego słowu towarzyszył ostrożny krok, aż w końcu kapitan znalazł się zupełnie za plecami kobiety.

– Tak jest, panie kapitanie – potwierdził Walker. – Myślę, że powinniśmy zrobić co ona chce. Uwolnijmy Tygrysa.

– Zrobimy inaczej – oznajmił dowódca usztywniając rękę w łokciu.

Nikt nigdy nie dowiedział się co chciał zrobić kapitan, bo zniknął bezgłośnie, a wraz z nim pozostali żołnierze. Czarownica przez ułamek sekundy zawahała się, czy nie oszczędzić jednego z nich, tego nazwanego Walkerem, ale w końcu stwierdziła, że nie było warto.

Potem zniknęła klatkę.

– Dziękuję – powiedział Tygrys uprzejmie. – Jak się nazwa moja piękna wybawicielka?

– Tu nazywają mnie Czarownicą.

– Nazywaj mnie zatem Tygrysem.

Zmierzyli się wzrokiem. Jego pasiaste futro opinające prężne mięśnie. Jej ciemne włosy, spadające gładko jak jęzor smoły, aż po kształtne pośladki. Jego białe wąsiska. Jej gładka cera. Jego żółte oczy drapieżnika. Jej zielone oczy Wiedźmy.

Zaprosiła go gestem i ruszyli razem w stronę jej domu.

– Jak zostaje się Czarownicą? – spytał Tygrys. – Czy to niebezpieczne?

Roześmiała się. Nikt nigdy dotąd jej o to nie pytał.

– Nie bardzo. W dzieciństwie wrzucają nas w czarną dziurę, jakich pełno w galaktyce. Cała sztuka polega na tym, żeby uciec spod horyzontu zdarzeń w jednym kawałku. Łatwizna.

Zachichotali oboje.

Nie da się nie obejrzeć za piękną Singularianką. Nie da się zignorować przystojnego Tygrysa.

Kiedy szli razem przez wieś, ludzie przystawali i oglądali się za nimi jeszcze długo po tym, kiedy para zniknęła im z oczu.

Tego dnia wszyscy byli dla siebie lepsi.

Czarownica i Tygrys szli długo, dużo dłużej niż zwykle trwa droga do domu.

A gdzieś w połowie tej drogi i w połowie rozmowy, znużeni spacerem, ułożyli się obok siebie na dużej polanie pośrodku lasu. Czarownica nieśmiało wtuliła twarz w grzbiet Tygrysa i odetchnęła głęboko. Zapach sierści przeniknął jej nozdrza, przymknęła oczy i zamruczała cichutko. Przesunęła rękę z jego barku na pierś i wczepiła palce w gęste futro. Tygrys zastrzygł uszami i odwrócił głowę. Na pręgowanym pysku pojawiło się coś na kształt krzywego uśmiechu. Otworzył paszczę i chwycił dłoń Czarownicy. Ale choć zrobił to ostrożnie, ostry kieł przebił delikatną skórę tuż za knykciem palca wskazującego. Pojedyncza kropla krwi, która zjawiała się w tym miejscu, spłynęła po chwili w stronę kciuka. Tygrys zlizął ją szybko i jakby z zawstydzeniem. Wiedźma dmuchnęła mu karcąco w ucho i Tygrys ledwo powstrzymał nerwowe wzdrygnięcie. Trącił ją lekko nosem w odpowiedzi.

Poczuł nagle, jak jej ciało zmieniło się. Ciężar opierający mu się o plecy przesunął swój środek, ręka która go obejmowała stała się pręgowaną łapą, dłoń zgrubiała, palce ściągnęły się, a zadbane ludzkie paznokcie urosły, wydłużyły się, przekształcając w długie kocie pazury.

Poczuł nagle zapach samicy swojego gatunku, zwietrzył ruję i spiął się, zeszytywniał cały na to nieoczekiwane doznanie.

Ugryzła go w kark. Nie za lekko i nie za mocno, jakby dokładnie wiedziała jak wywołać najlepszy efekt. Pazurami przeorała mu bok, ale nie do krwi, choć na pewno stracił kilka kępek futra. Z rykiem zerwał się na nogi i poczuł jak Czarownica robi to samo. Odwrócił do niej ciężko dysząc.

Stała przed nim i przypatrywała mu się uważnie, krzywiąc pysk w odrobinę kpiącym uśmiechu. Wlepił spojrzenie w czarne punkty jej źrenic, w tęczówki bardziej żółte od jego własnych i obejrzał dokładnie umaszczenie na jej głowie a zwłaszcza układ pręg nad oczami, które nadawały jej pyskowi wyrazowi lekkiego zdziwienia. Przyjrzał się jej położonym w tył uszom, naprężonym do skoku mięśniom tylnych łap i drgającemu końcowi ogona wysuwającemu się to z jednej, to z drugiej strony smukłego ciała Tygrysicy.

Czarownicy.

Na sztywnych łapach zbliżył się do niej, ich pyski prawie się spotkały, a wibryssy zetknęły się. Czarownicę przebiegł dreszcz, tak wyraźny, aż Tygrys fizycznie prawie poczuł jej podniecenie.

– Weźmiesz mnie w końcu? – usłyszał.

Wziął ją, a może wzięli się oboje, pod turkusowym niebem, na które wychynęły akurat wszystkie trzy księżyce. W ruch poszły zęby, mięśnie i ścięgna, ogony splatały i rozplatały się w miłosnym uniesieniu. To on przygniatał ją do ziemi, to ona dosiadała go jak ogiera. To on zaciskał pazury na jej gardle, to ona gryzła go namiętnie w miękki brzuch.

Ponad chmurami Nadzieja goniła Miłość, a pod prąd cicho sunęła Wiara.

– Chciałbym wrócić na Persefonę – powiedział Tygrys długo potem. – Chciałbym żebyś mogła

być tam ze mną. Zobaczyć te tropikalne lasy i wysokie trawy. Moglibyśmy polować razem.

– Mogę cię tam zabrać – wyszeptała Czarownica. – Możemy być razem, do końca dni.

Ich białe policzki spotkały się na krótką chwilę.

I stało się tak, że na Persefonie ona była u jego boku, a on zawsze przy niej.

A kiedy Tygrys umarł, Czarownica pochowała go, a ciało przykryła kamieniami.

Potem wróciła na swoją planetę.

W domu ze szkła i metalu, niedaleko Miłobądzi, często wspominała swojego Tygrysa.

Nigdy już się nie zakochała.

## Antybadania

(Opublikowane w portalu [fantastyka.pl](http://fantastyka.pl) – 2015)

Profesor Nowak wstrzymał powietrze i uruchomił procedurę otwarcia przejścia do antyświata.

Strumień wysokoenergetycznych antyprotonów rozdarł bezgłośnie czasoprzestrzeń, a przez powstałą w ten sposób dziurę ukazało się bliźniacze prawie laboratorium.

Zaterkotał, stojący w kącie, detektor pozytonów.

Profesor uśmiechnął się i pomachał ręką. Antyprofesor, stojący po drugiej stronie przejścia, uczynił coś dokładnie przeciwnego.

– Witaj – powiedział Nowak.

– Witaj – antypowiedział Antynowak.

Nie usłyszeli się jednak wzajemnie, bo dźwięk ich głosów rozbrzmiewał w przeciwfazie.

## Antybadania

(Opublikowane w portalu [fantastyka.pl](http://fantastyka.pl) – 2015)

Profesor Nowak wstrzymał powietrze i uruchomił procedurę otwarcia przejścia do antyświata.

Strumień wysokoenergetycznych antyprotonów rozdarł bezgłośnie czasoprzestrzeń, a przez powstałą w ten sposób dziurę ukazało się bliźniacze prawie laboratorium.

Zaterkotał, stojący w kącie, detektor pozytonów.

Profesor uśmiechnął się i pomachał ręką. Antyprofesor, stojący po drugiej stronie przejścia, uczynił coś dokładnie przeciwnego.

– Witaj – powiedział Nowak.

„Witaj” odpowiedział antyprofesor – ale –

Nie usłyszeli się jednak wzajemnie, bo dźwięk ich głosów rozbrzmiewał w przeciwfazie.

## **Historia przerażająca na dziewięć słów.**

Onkolog był rozbawiony. Ujrzawszy mnie, spoważniał, podejrzenie zbyt mocno.

## Czaromalowanie (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - wrzesień 2015)

Była ekscentryczną malarką.

Lubiła eksperymentować z technikami, często domieszkowała farby swoimi wynalazkami. Przykładowo do cytrynowej żółci dodawała ekstrakt z kaczeńców, a do makowej czerwieni – a jakże! – zebrane o zachodzie słońca płatki maków. Kwiaty namalowane takimi barwami wymagały stałej pielęgnacji – a to regularnego spryskiwania, a to zmiany pożółkłej wody – inaczej schły, kruszyły się i sypały poza ramy obrazów, zostawiając na podłodze ulotny zapach terpentyny. Kiedyś nawet wyrzuciła trzy martwe natury, bo niedogłądane płótna przegniły od zepsutych owoców.

Jednak najgorszy w utrzymaniu był portret jej zmarłego męża, naszkicowany czernią pozyskaną ze spalonych włosów.

Henryk był cudownym brunetem, ale nienawidziła go codziennie golić.

## Książka

Położyłem dłoń na jej grzbiecie, przyciągnąłem do siebie jednym płynnym ruchem, zdecydowanym i jednocześnie ostrożnym. Drugą ręką sięgnąłem pod obwolutę i zsunąłem ją delikatnie. Nie opierała się. Nigdy się nie opierała. Dłoń drżała mi nerwowo, jak zawsze w takiej chwili. Obwoluta spadła na podłogę, a ona leżała tam przede mną naga, pachnąca. Pod wpływem mojego dotyku rozchyliła okładki, odsłaniając cienkie alabastrowe strony pokryte drobnymi tatuażami opowieści.

Za każdym razem zadawałem sobie to samo pytanie – czy kocham ją bardziej za ten oszałamiający wygląd, czy za historie, których miała dla mnie bez liku. Niektóre z nich powtarzała już tyle razy, a ja za każdym razem pragnąłem je przeżywać, za każdym razem odkrywałem je na nowo. Nigdy nie miałem ich dosyć. Ani jej.

Lecz kiedyś, w przypiływie szaleństwa próbowałem coś poprawić, przerobić. Niezmywalnym mazakiem zawładnąć jej opowieścią i odmienić zakończenie. Zrozpaczony, pełen bólu naderwałem jej kartkę.

Wtedy zamknęła się dla mnie. Zniknęła z mojego życia.

Nie byłem już jej czytelnikiem.

I nigdy już nie będę.



## Święta (dribble)

Nie  
były to  
pierwsze święta,  
kiedy ją pominęto.  
Jej  
koleżanki  
oczywiście miały  
branie. Zarówno starsze,  
jak i te młodsze, ledwie od ziemi odrosłe.  
Drwale  
ignorowali ją,  
obchodzili łukiem  
i celowo omijali wzrokiem.  
Jakby to z jej winy ich kolega upił się i powiesił  
wtedy,  
lata  
temu,  
na  
jej najgrubszej gałęzi.

## Święta (dribble)

Nie  
były to  
pierwsze święta,  
kiedy ją pominięto.  
Jej  
koleżanki  
oczywiście miały  
branie. Zarówno starsze,  
jak i te młodsze, ledwie od ziemi odrosłe.  
Drwale  
ignorowali ją,  
obchodzili łukiem  
i celowo omijali wzrokiem.  
Jakby to z jej winy ich kolega upił się i powiesił  
wtedy,  
lata  
temu,  
na  
jej najgrubszej gałęzi.

## Figurki (drabble)

– Figurki, figurki zmieniajcie się... – krzyczy odwrócona do nas plecami Anka. To nasza sąsiadka zza Mrówki, często się razem bawimy.

Pawełek rozkłada szeroko ręce i rozcapierza palce, a Michał staje w rozkroku i pochyla niebezpiecznie. Ja wyprężam się na baczność.

Jest strasznie gorąco.

Brzęczą muchy.

Anka wykonuje na pięcie piruet i spogląda wyzywająco.

Żaden z nas nie porusza się, chociaż ledwie się powstrzymujemy aby nie wybuchnąć śmiechem.

Ale Anka nie patrzy na nas, tylko trochę wyżej, ponad naszymi głowami. Jej olbrzymie, czarne oczy rozszerzają się.

– Figurki, figurki, zmieniajcie się – słyszę w głowie.

To tamten dzień mnie zmienił, tamten mężczyzna, nie Anka.

## Zbanowany (drabble)

(Opublikowane w Drabble Na Niedzielę – 75/76 / 2015)

Zostałem skazany. Orzeczono wobec mnie zakaz dostępu do sieci. Dokądkolwiek idę, gdziekolwiek próbuję skorzystać z komputera – mam bana. Czy to smartfon mojej babci, lodówka matki, czy interaktywna mapa w centrum handlowym – identyfikują mnie czujniki biometryczne i witają ograniczeniami.

Ale nie poddaję się!

Podejmuję z konta wszystkie oszczędności, zapożyczam się i na czarnym rynku nabywam ciało z usługą transferu osobowości. Obok *in vitro* najbardziej nielegalny syf w kraju.

Operacja trwa dziesięć minut, rekonwalescencja – dwa tygodnie, ale w końcu loguję się do netu jako nowy użytkownik.

Christ-OS: Dostęp wzbroniony.  
Fingerprint twojej duszy znajduje się na indeksie.

Czytam odpowiedź systemu i bezgłośnie połykam łzy.

## Niedziela na Służewcu (drabble)

Zagraj zwyczajnie, Stasiu. Znaczy... z góry postaw, cholera... na wygranego! A potem puść porządek. Dwa konie wybierz albo trzy, trzy możesz w kółko zagrać, czyli w boksie. Co to porządek? No, że wygrywasz jak w dowolnej kolejności przybiegną. Nie wiem dlaczego nazywają to porządek, ale jak chcesz w porządku obstawić, to dwójkę zagraj. Albo trójkę, czwórkę... Dograj parę koni do pierwszego i drugiego, a resztę ścianą! Mnie tripla właśnie się skończy. Tripla? No trzy biegi po sobie z góry. A potem kwinta – to taka tripla, tyle że na pięć gonitw...

Zagrałeś, Stasiu? Masz bilety? Chodź. Pierwszą wódkę ja stawiam.

## Desant (drabble)

Zaskoczenie Obcych było zupełne.

Ludzki desant zrzucony rankiem nie pozostawił żadnych złudzeń – planeta została zaatakowana. Obcy ogłosili mobilizację. Pięć klanów, toczących od lat wyniszczającą wzajemnie wojnę, bez wahania zjednoczyło swoje armie, aby przeciwstawić się agresorowi.

Ale żadna istota w kosmosie nie mogła mierzyć się z najbrutalniejszymi ludzkimi komandosami złożonymi z najsurowszych, najbardziej doświadczonych lekarzy orzeczników ZUS.

Którędy przeszedł ich oddział, tam zostawały tylko puste skorupy Obcych.

Później mawiano, że jeden z pułkowników ulitował się nad przypadkiem ocalałym, pozbawionym kończyn Obcym. Podobno kazał mu odejść, a Obcy odszedł.

Ale kto by wierzył tym żołnierskim historiom...

\*\*\*

Wieczorem na planecie wylądowała piechota Skarbówki.

## Czarownica (drabble)

Im dłużej siedział w chatce, tym bardziej obawiał się gospodyni. Ładna była, zadbana, o uśmiechu cudnym jak majowy poranek. A jednak miała w spojrzeniu głód jakiś drapieżny, coś pociągającego i przerażającego zarazem, coś, przez co chciał wybiec z chaty z krzykiem i zaszyć się w lasach.

Ale jak iść w Żywe Bory nocą?

Samojeden?

Po śmierć?!

Więc czekał bezradnie ranka, a ona zerknęła czujnie, uśmiechając się leciutko znad robótki. Uprzejmy był to uśmiech i grzeczny, lecz takie składał obietnice, że pęcherz cisnął ze strachu i zęby szczękały.

Kiedy usnął zmęczony przy stole, wyśnił, że coś go żywcem od środka wyjadło.

## Heros (drabble)

– Jesteś moim superbohaterem. Moim herosem! – mamrocze do mnie pijany James, a jego głowa opada na kontuar.

Odsuwam dzielące nas szklanki i klepię go w ramię. Nic.

Chwytam go za kołnierz, żeby nie zsunął się na podłogę. Gestem odganiam prostytutkę, usiłującą skubnąć Jamesowi portfel i odstraszam warknięciem jakiegoś szczeniaka, który chce zepchnąć go ze stołka.

Wzrokiem ściągam Pałę i Rudego. Co za pseudonimy... Zauważyliście, że ludzie są coraz wyżsi? Że takich ksyw jak „Mały” albo „Krótki” jest coraz mniej?

Wzdycham ciężko i zamawiam taksówkę, podczas gdy bramkarze wyciągają Jamesa na zewnątrz.

„Oczywiście, że jestem twoim superbohaterem” – myślę, uśmiechając się.

„Jestem Barmanem”.



## Stowarzyszenie Samobójców (drabble)

Spotykali się wieczorami, albo późną nocą. Zawsze było ich siedmiu. Szczęśliwa liczba. Gdy jeden odszedł, dołączał kolejny i zajmował puste miejsce.

Włóczyli się po miejskich cmentarzach, albo parkach, czy też okolicznych lasach i rozmawiali o swoich nieszczęściach. O dręczących ich problemach, o miałkim, męczącym życiu, za którym nie nadążają, aż temat zbaczał ostatecznie na Tych, Którzy Odeszli. Wspominali ich z czcią i zazdrościli odwagi.

Opowiadali, podekscytowani, o sposobach samobójstwa jakie wybiorą, dyskutowali o ich wadach i zaletach, o planach na krótką przyszłość.

Nigdy nie zastanawiali się dlaczego prezes Stowarzyszenia ma siwą brodę i pomarszczoną skórę.

I takie błyszczące podnieceniem oczy.

## Pies (drabble)

Tylko pies z kulawą nogą przyszedł na pogrzeb starego Gwizdonia. Nie kierowało nim nic szczególnego, żadna tam tęsknota czy smutek, ledwo kojarzył fakt, że kilka miesięcy wcześniej ten człowiek rzucił mu pod nos kanapkę.

Przywiodła go ciekawość.

Pamiętał, że Gwizdoń nazywał go Klopsem.

Jak wiele bezpańskich psów, tak i ten miał wiele imion i jedne kojarzyły się z ciepłą miską, inne z rzucanymi kamieniami. To taki właśnie celnie rzucony kamień przetrącił mu kiedyś łapę, ale nie pamiętał jak wówczas na niego wołano. „Klops” nie obudził ważniejszych wspomnień.

Kiedy grabarze skończyli grzebać Gwizdonia, Klops ziewnął.

Siknął.

Nie było tu nic interesującego.

## Spacer (drabble)

Gęsty dym wypłynął z dysz silników, a po chwili trysnął ogień. Dysze skalibrowały się i ustawiły odpowiednio, a strumień odrzutu zwiększył się. Grunt planetoidy zadrżał.

Moja pierwsza myśl brzmiała: “Niemożliwe!”.

Ale to się działo na moich oczach – odlatywali beze mnie!

Pobiegłem ile sił, ale przyciąganie tu było tak znikome, że po kilku krokach przewróciłem się na pysk, aż zaryłem nosem o wnętrze hełmu.

Poderwałem się jeszcze, choć wiedziałem już, że nie zdążę.

Może nie byłem tak mądry jak moi właściciele, ale szybko zrozumiałem, co się właśnie stało.

Lecieli na wakacje beze mnie.

– Dlaczego?! – zaszczekałem.

Wskaźniki tlenu zapaliły się na czerwono.

# Odrobina autoreklamy

O autorze:

Marcin Jamiołkowski

Rocznik 1974. Uzależniony od programowania kofeinista, wychowany przez Atari 65 XE i wykarmiony przez magnetofon kasetowy, twierdzi, że pamięta czasy, kiedy gry komputerowe były nadawane przez radio.

Przez ostatnie dziesięć lat związany ze światem hazardu, ale nie jako gracz, choć na wyścigach konnych sobie nie odmawia.

Autor serii książek o warszawskim magu – Herbercie Kruku. Pierwsza część serii pod tytułem „Okup krwi” została wydana nakładem wydawnictwa **Genius Creations**. Kolejne części o tytułach „Order” i „Bezsenni” mają zostać wydane odpowiednio na jesieni 2015 i wiosną 2016 roku.

W październiku 2015 nakładem wydawnictwa **Czwarta Strona** zostanie opublikowana jego space opera pod tytułem „Keller”.

Opublikował kilka opowiadań w portalach internetowych. Uważa, że drabble mają specyficzny rytm, a on poszukuje najlepszego.

Pierwszą książką SF, którą przeczytał był Bal na pięciu księżycach Bohdana Peteckiego. Od tej pory ukochał nie tylko fantastykę, ale i bal - sam nie wie, które woli bardziej.

Wyznaje bokononizm i praktykuje boko-maru.

Marcin Jamiołkowski

## OKUP KRWI



Herbert wie, że spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego, czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moc Herberta nie działa.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliśka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej.

Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk.

Od Rozproszenia upłynęło kilka tysięcy lat. Ludzie opuścili Ziemię i przenieśli się do innych układów gwiazdnych. Znaleźli nowe światy do zamieszkania, znaleźli Obcych, ale nie znaleźli spokoju. Bo co towarzyszy ludzkości od zarania dziejów? Walka o wpływy i pieniądze. I jeszcze większe wpływy, i jeszcze większe pieniądze.

Główny bohater, Ian Keller, awanturnik i przemytnik, zostaje zwerbowany przez służby specjalne Układu Polonusa i wysokich przedstawicieli Nowego Watykanu do wykonania pewnej misji – odzyskania relikwii skradzionych przez uzurpatorski, powstały w wyniku Wielkiej Schizmy, Kościół Pontifexański.

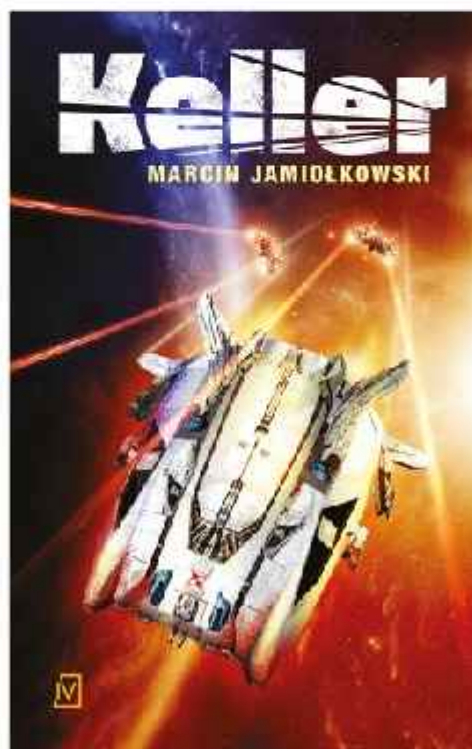
Na Pontifexie zbliżają się obchody Czwartego Tysiąclecia Męki Pańskiej. To doskonały czas, by przeniknąć na planetę. Doskonały czas na zapoznanie się z papieską córką. Doskonały czas na zemstę na generale Caratu.

Czy misja się powiedzie?

Kim naprawdę jest Ian Keller?

I co jest ważniejsze – zadanie czy zemsta?

Jeśli jesteś fanem Stalowego Szczura i Gwiazdnych Wojen – musisz poznać Kellera.



# W przygotowaniu

Marcin Jamiołkowski

## ORDER



Order

Marcin Jamiołkowski

Druga część przygód  
Herberta Kruka, w sprzedaży  
już w październiku 2015.

Bezsenni

Marcin Jamiołkowski

W przygotowaniu.  
Trzecia część serii pojawi  
się na wiosnę 2016

Marcin Jamiołkowski

## BEZSENNI



*COPYRIGHT © 2014-2015 BY  
MARCIN JAMIOŁKOWSKI*

*WYDANIE I*

*ISBN (wkrótce)*

*Wszelkie prawa zastrzeżone.*

*Chcesz wiedzieć kiedy pojawi się uaktualniony zbiór Migawek?*

*Polub profil autora na Facebooku:  
<https://www.facebook.com/marcinjamiolkowskiautor>*